

Laura Bellini

Zostaw na mnie światło

Ich wspólna przeszłość właśnie wchodzi na scenę.



Zostaw na mnie światło

Ich wspólna przeszłość właśnie wchodzi
na scenę.

Laura Bellini

ROMANS

SPIS TREŚCI

INTRO	4
Rozdział 1 - To, czego nie spaliliśmy	11
Rozdział 2 - Kopia wysłana o 02:11.....	25
Rozdział 3 - Czego nie pamiętał papier	44
Rozdział 4 - Miejsce, z którego się odchodzi.....	61
Rozdział 5 - Światło, którego nie było w tekście	77
Rozdział 6 - Rzeczy zostawione pod drzwiami.....	92
Rozdział 7 - Zanim zdecydujemy, kto zostaje	117
Rozdział 8 - Granica między próbą a decyzją	135
Rozdział 9 - Tego nie da się napisać na próbę	158
Rozdział 10 - Pocałunek, którego nie było w wersji siódmej	176
Rozdział 11 - Prawda, która nie mieści się w nagłówku	200
Rozdział 12 - Jedna noc bez planu.....	216
Rozdział 13 - Zanim wsiądę do samolotu	245
Rozdział 14 - Odległość nie jest ciszą	266
Rozdział 15 - Dwie noce to nie plan.....	289
Rozdział 16 - Nie oddawaj mi swojej połowy.....	310
Rozdział 17 - Cena prawdy	328
Rozdział 18 - Wszystko, co zostaje w świetle	351
Rozdział 19 - Nie wszystko trzeba ocalić	370
Rozdział 20 - Zostaw na mnie światło	389

INTRO

Pierwsze światło zapaliłam o dziewiętnastej czterdzieści trzy, chociaż zgodnie z harmonogramem od dwunastu minut powinnam była siedzieć w samochodzie i jechać do hotelu.

Na pustej widowni Teatru Nadbrzeże pachniało kurzem, świeżo malowanym drewnem i kawą, którą ktoś zostawił w plastikowym kubku na skraju sceny. Po sześciu tygodniach remontu budynek wyglądał tak, jak lubiły wyglądać teatry tuż przed ponownym otwarciem - wystarczająco pięknie dla publiczności i wystarczająco niedokończony, żeby każdy pracownik techniczny miał jeszcze przynajmniej trzy powody do przeklinania.

Stałam przy konsolce oświetleniowej i próbowałam znaleźć czwarty.

- Jeszcze raz dwadzieścia siedem - powiedziałam do interkomu. - I proszę, niech nikt nie rusza reflektora na moście numer dwa. Naprawdę. Nawet jeśli ktoś uzna, że wygląda samotnie.

W słuchawce odezwał się Marek, szef techniki.

- To nie my. Ten samotny reflektor przesunął się sam.

- Świetnie. Mamy ducha. Wpisz go do zespołu, skoro pracuje po godzinach.

Usłyszałam jego śmiech, a potem charakterystyczne stukanie drabiny o metalową konstrukcję. Na scenie zgasała boczna smuga światła, po sekundzie pojawiła się ponownie, tym razem dokładnie tam, gdzie jej chciałam - przy krawędzi drewnianego podestu, który w premierowym spektaklu miał udawać stary peron kolejowy.

To było moje ostatnie zlecenie w Polsce przed wyjazdem do Kopenhagi. Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

Dwa tygodnie pracy, premiera inauguracyjna, faktura, samolot. Żadnego przywiązywania się do miejsca, ludzi ani projektów, które wymagały pozostania dłużej, niż zakładała umowa. Przez ostatnie osiem lat zbudowałam sobie z tego całkiem wygodne życie. Teatry w Berlinie, Pradze, Wiedniu, czasem Warszawa albo Gdańsk. Przyjeżdżałam, ustawiałam światło, ratowałam trzy kryzysy, których nikt nie przewidział, i zniktałam, zanim ktoś zdążył zapytać, gdzie właściwie mieszkam.

Technicznie mieszkalam we Wrocławiu.

Praktycznie miałam tam mieszkanie, w którym więcej czasu spędzały moje rośliny niż ja.

- Lena? - odezwał się Marek. - Robimy trzydzieści jeden?

Spojrzałam na zegarek.

Powinnam powiedzieć nie.

- Robimy.

Wprowadziłam numer sekwencji. Na scenę spłynęło ciepłe, przygaszone światło, wycinając z ciemności samotne krzesło ustawione pośrodku dekoracji. Krzesła nie było tam godzinę wcześniej.

Zmarszczyłam brwi.

- Marek?

- To nie moje.

- Czy ktokolwiek w tym teatrze przyznaje się do czegokolwiek?

- Rzadko. Dlatego przetrwaliśmy remont.

Miałam już poprosić o usunięcie rekwizytu, kiedy w głębi sceny poruszył się cień.

Najpierw pomyślałam, że to kolejny technik. Potem zobaczyłam kobietę. Młodą, może dwudziestopięcioletnią, w czarnych spodniach i z włosami związanymi wysoko nad karkiem. Wyszła zza kulisy z plikiem kartek w dłoni, usiadła na krześle i spojrzała w stronę pustej widowni.

- Przepraszam - powiedziała. - Kazali mi sprawdzić wejście przed próbą jutro rano. Mogę?

Nie lubiałam, kiedy aktorzy pojawiali się podczas ustawiania świateł, ale w jej głosie było tyle ostrożności, że zamiast ją wyrzucić, westchnęłam.

- Jedną scenę. Nie ruszaj krzesła.

- Jasne.

Opuściłam rękę na suwak dimmera.

Kobieta otworzyła tekst.

- Światło zostawiasz dla tych, którzy wracają - zaczęła.

Moje palce znieruchomiały.

Nie od razu zrozumiałam dlaczego. To było tylko zdanie. Zwyczajne słowa, kilka sylab wypowiedzianych przez obcą dziewczynę na pustej scenie.

Potem przeczytała następne.

- Dla tych, którzy odchodzą, wystarczy ciemność.

Poczułam, jak oparcie fotela wbija mi się w plecy.

Na scenie aktorka mówiła dalej.

- A jeśli nie wiem, do których należę?

Teraz już wiedziałam.

Wstałam tak gwałtownie, że przewód słuchawek zaczepił o krawędź stołu.

- Stop.

Dziewczyna podniosła głowę.

- Coś ze światłem?

- Powiedziałam stop.

Marek odezwał się przez interkom, ale zdjęłam słuchawkę, zanim zrozumiałam, co mówi.

Zeszłam po schodach między rzędami foteli. Nie spieszyłam się. Przynajmniej próbowałam tego nie robić. Z każdym krokiem słowa sprzed trzynastu lat układały się we mnie na swoich dawnych miejscach.

Światło zostawiasz dla tych, którzy wracają.

Napisałam to na odwrocie rachunku z całodobowej kawiarni przy Dworcu Głównym.

Była druga siedemnaście w nocy.

Miałam dwadzieścia jeden lat.

Michał siedział naprzeciwko mnie i twierdził, że pierwsze zdanie jest pretensjonalne.

Pięć minut później dopisał drugie.

Dla tych, którzy odchodzą, wystarczy ciemność.

Nigdy tego nie wystawiliśmy.

Nigdy nawet nie skończyliśmy sztuki.

- Skąd masz ten tekst? - zapytałam.

Aktorka popatrzyła na kartki, jakby dopiero teraz mogła kryć się w nich odpowiedź.

- Z sekretariatu artystycznego.

- Kto ci go dał?

- Pani Dorota. To nowy spektakl.

Wyciągnęłam rękę.

Dziewczyna zawahała się.

- Nie powinnam oddawać egzemplarza.

- Chcę tylko zobaczyć pierwszą stronę.

Musiałam zabrzmieć wystarczająco rozsądnie, bo podała mi plik.

Papier był jeszcze ciepły od drukarki. Na górze widniało logo teatru, niżej data pierwszej próby, nazwisko reżysera i tytuł.

Zostaw na mnie światło.

Przez moment słyszałam tylko wentylację pracującą pod sceną.

Przesunęłam wzrok niżej.

Autor: Aleksander Wolski.

Zaśmiałam się, gdyby nie to, że Aleksander Wolski nie żył od trzech lat.

Był jednym z najbardziej cenionych dramaturgów swojego pokolenia. Człowiekiem, którego teksty wystawiano w Warszawie, Krakowie, Berlinie i Paryżu. Człowiekiem, którego nigdy osobiście nie poznałam.

I człowiekiem, który najwyraźniej napisał zdanie stworzone przeze mnie o drugiej siedemnastce w nocy, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat i byłam zakochana w chłopaku, z którym wierzyłam, że kiedyś zrobimy własny teatr.

Odwróciłam stronę.

Druga scena.

Nasza.

Trzecia.

Też nasza.

Nie identyczna. Zmieniono imiona. Skrócono didaskalia. Ktoś wygładził dialog, przesunął kilka zdań, dopisał sceny, których nie pamiętałam.

Ale znałam ten tekst.

Znałam go tak, jak poznaje się bliznę pod ubraniem - nie trzeba jej widzieć, żeby wiedzieć, gdzie jest.

- Kiedy to znaleziono? - zapytałam.

- Podobno w archiwum Wolskiego. Dyrekcja dostała rękopis od jego spadkobierców. To ma być niespodzianka na otwarcie sezonu. Pierwsze niepublikowane dzieło od jego śmierci.

Oddałam jej kartki.

- Kto reżyseruje?

Tym razem odpowiedź przysłała z ciemności za moimi plecami.

- Ja.

Nie musiałam się odwracać.

Trzyście lat wystarczyło, żebym zapomniała dokładny odcień jego oczu, sposób, w jaki się uśmiechał, i to, czy naprawdę miał małą bliznę przy lewej brwi, czy z czasem dopisała ją moja pamięć.

Nie wystarczyło, żebym zapomniała jego głos.

Stał w przejściu między pierwszym rzędem a sceną.

Michał Borowski.

Starszy. Szczuplejszy. Z dłonią wsuniętą do kieszeni ciemnego płaszcza i tym samym spokojem na twarzy, który kiedyś doprowadzał mnie do furii, bo nigdy nie wiedziałam, czy naprawdę niczego się nie boi, czy po prostu nauczył się świetnie to ukrywać.

Spojrzał na tekst w rękach aktorki, potem na mnie.

- Cześć, Lena.

Nie odpowiedziałam.

Bo nagle przestało mnie interesować, kto znalazł naszą sztukę.

Chciałam wiedzieć, dlaczego mężczyzna, który napisał ze mną połowę tych słów, stał tutaj od początku i nie wyglądał na zaskoczonego.

Rozdział 1 - To, czego nie spaliliśmy

Przez kilka sekund żadne z nas się nie poruszyło. Aktorka stojąca między mną a Michałem zerknęła raz na niego, raz na mnie, coraz wyraźniej przekonana, że przypadkiem weszła w scenę, której nie było w jej egzemplarzu. W końcu zamknęła tekst, przycisnęła go do piersi i zrobiła krok w stronę kulis.

- Mam wrócić jutro o dziewiątej? - zapytała.

Michał spojrzał na nią pierwszy.

- Tak. Dzięki, Maja. I nie przejmuj się tym, co się teraz dzieje.

- Nie wiem, co się dzieje.

- Tym lepiej.

Kiedy zniknęła za czarną kotarą, zostałam z nim na scenie i z własnym wspomnieniem sprzed trzynastu lat, wydrukowanym na papierze z logo teatru. Z góry dochodziły głosy techników, ale nikt nie schodził. Marek miał wystarczająco dużo doświadczenia, by rozpoznać moment, w którym cudzy kryzys przestawał być ciekawostką, a zaczynał wymagać dyskrekcji.

Michał wyglądał inaczej, niż zapamiętałam, ale nie na tyle, żebym mogła udawać, że widzę obcego człowieka. Miał krócej ostrzyżone włosy, kilka jasnych nitok przy skroni i zmarszczkę między brwiami, której kiedyś nie było. Zniknęła za to chłopcę lekkość, przez którą w wieku dwudziestu dwóch lat potrafił wejść bez zaproszenia na próbę dyplomową trzeciego roku i przekonać wszystkich, że należy do obsady. Teraz stał spokojnie, jak ktoś przyzwyczajony, że ludzie czekają, aż powie, co robić.